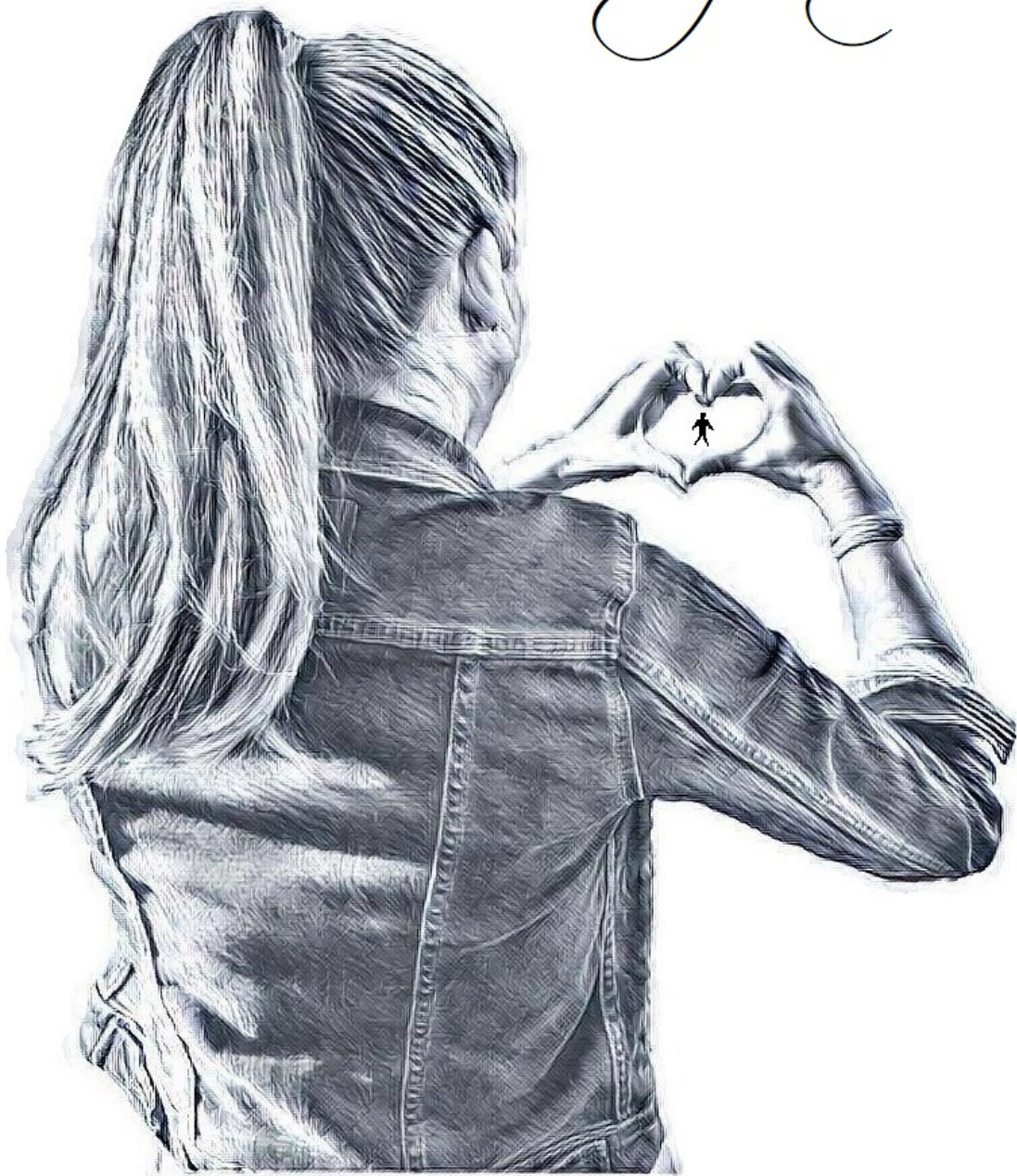


Bruno Kadyua

# Turkaj sie



**Ilustracja:** Bruno Kadyna

**Strona autora:** [brunokadyna.pl](http://brunokadyna.pl)

**Adres:** [bruno.kadyna@wp.pl](mailto:bruno.kadyna@wp.pl)

Październik 2017

Chciałem znowu być kawalerem, ale już ze świadomością, jak to jest w małżeństwie, żeby w żadnym wypadku nie szukać sobie baby jak jakiś durny cielak, romantyk zasmarkany. Cieszyć się wolnością, zarabiać tylko na siebie i dla siebie, nie tłumaczyć się z każdego kroku. Wystarczy, że kiedyś musiałem tłumaczyć się matce. Chciałem przestać czuć się ograniczany, tłamszony bez chwili spokoju. Przestać słuchać, że ciągle mnie nie ma, że mam ją gdzieś, że robię to i tamto.

W końcu miałem gdzieś i faktycznie uciekałem. Na każdego smsa reagowałem alergią. Zbierało mi się na pawia, kiedy wracałem do domu, bo wiedziałem, co mnie tam czeka. Nie pamiętam normalnej rozmowy, spaceru, który nie kończyłby się kłótnią.

Sam nie wiem, jak do tego doszliśmy. Chyba żadna para nie wie, bo to standard przecież. Kobieca i męska natura. Oko i pięść.

I mam swoją wolność, Ola odeszła. I chyba już nie wróci. Jakoś jeszcze nie mogę odetchnąć pełną piersią. Ale to pewnie minie.

Wchodzę do dużego pokoju, rozglądam się. Nie wiem, co z sobą zrobić.

– Kurde, jak ten zegar głośno tyka.

Nigdy wcześniej nie zwracałem na to uwagi. No bo jak w takim bajzlu? Olka go kupiła, sam nie wiem po co. Praktycznie wszystko kupiła. To znaczy wybrała, ja płaciłem. Nam facetom jest wszystko jedno. Zgadza się prawie na każdą pierdołę, żeby je zadowolić, bo im zależy. A one tego nie doceniają. Firanki, meble, tapeta co rok inna, obrazki, ramki, co chwilę inne podkładki na stół, dywaniki, doniczki, zazdrostki, serwetki, bzdetki. A przy tym to gderanie pod nosem, naburmuszone brzęczenie, że nie chcę milionowy raz powiedzieć, czy ładne. W dupie mam, czy ładne! Dlaczego kobiety chcą zrobić z facetów kobiety i wkurzają się, kiedy to się nie udaje? Może lepiej było się na wszystko nie zgadzać, pozwalać na niewiele? Wtedy może by doceniała to, co

ma.

Opadam na kanapę. Jak dobrze, że mam to za sobą. Chociaż dziwnie tu bez niej.

– To normalne po tylu latach. Przejdzie ci.

Nawet mój głos brzmi dziwnie, kiedy jej nie ma. Mam w domu jakiś alkohol? Nie piję dużo, raz, dwa razy w miesiącu i czasami szklaneczkę whisky albo lampkę wina do filmu. Ale teraz mam ochotę napić się porządnie.

Zaglądam do lodówki. Jest tylko resztką tej gównianej whisky z Lidla, którą zawsze częstuję brata. Jemu jest wszystko jedno.

– Przecież teraz możesz sobie chłopie normalnie wyjść do sklepu i kupić, co chcesz, bez tłumaczenia i słuchania, że znowu wychodzisz.

Uśmiechnięty idę ubrać buty i dzida do monopolowego po coś dobrego. Nie śpieszę się, spacer jest przyjemny, kiedy nie ciąży w głowie świadomość, że w domu czeka wściekła osa.

A co, szarpnę się. Kupuję torfową whisky za prawie dwie stówy. Próbowałem kiedyś takiej u kuzyna, pyszotka.

Wracam do domu pogwizdując sobie jak wieśniak, potem nalewam szklaneczkę, rozsiadam się w fotelu i próbuję.

– Niebo w ziemi.

Jak mawiał Wiesiek Wszywka. Smak dymu i ciepło rozchodzi się pięknie w ustach i w gardle. Takiej whisky nie pije się szybko, ciumka się i delektuje, najlepiej w dobrym towarzystwie.

– A właśnie.

Wyciągam z kieszeni telefon i dzwonię.

– Halo, Bojson, paróweczko ty moja – mówię.

– No cześć, Dętka. Co tam?

– Ty, masz ochotę na whisky? Kupiłem takiego Lagavulina, jak ty kiedyś miałeś.

- No proszę. A co na to Olka.
- Paszła! Wyprowadziła się wczoraj do matki. To koniec. Dawaj, jestem sam, trzeba to oblać.
- No co ty dajesz?
- Kipiało, aż wykopiało. Sam wiesz jak było.
- No tak. U mnie nie lepiej. Chętnie bym wpadł, ale nie dzisiaj, właśnie wracam z farbą do domu, będę malował pokój.
- Lucyna zaprzęła cię do roboty?
- Jak woła na roli, cmoknęła i dała klapsa, żebym się ruszył.
- Ja mam to z bańki, oby.
- Pewnie się zejdziecie.
- A w życiu! Wolałbym się wyhuścić. To co, nie wyrwiesz się?
- Coś ty, nie ma szans.
- No nic, żałuj. Zostawię ci trochę.
- Ok, chętnie, to zacna gorzelnia.
- Narazicho.
- Tymczasem, Dętka.

Jeszcze tylko on tak na mnie mówi. Kiedyś pracowałem w Wulkanizacji, już w czasie szkoły, stąd ta ksywka. Wtedy najbardziej tęskniłem za Olką.

Poznaliśmy się jeszcze w podstawówce. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Chodziliśmy z sobą do czasu, aż się wyprowadziła na drugi koniec miasta, do domu na wzgórzu. To chyba najwyżej położone osiedle w naszym mieście. Ta odległość zniszczyła nasz dziecięcy związek. Ale ja nie mogłem o niej zapomnieć. Ona o mnie też, jak się później okazało. Widziałem się z nią jeszcze kilka razy, a potem kontakt urwał się na parę lat.

Kiedy miałem siedemnaście lat zacząłem pracę w wulkanizacji. Z okna widziałem jej dom w oddali. Przez to nie było dnia, żebym o niej nie myślał. Co u niej, czy żyje, czy kogoś ma? Zacząłem ją idealizować, pompować uczucie, aż miłość zaczęła mnie rozpierać

i nie mogłem już wytrzymać, musiałem ją zobaczyć.

– Głupi cielak. – Biorę kolejnego łyčka.

Niestety to był czas, kiedy spałem się strasznie i wstydzilem siebie. Mówiłem sobie, że nie będzie mnie chciała widzieć takiego, że jest zbyt cudowna, zbyt piękna, żeby zwrócić na mnie uwagę, i na co ja w ogóle liczę.

– Gruby, głupi cielak. – Kolejny łyczek. – Szlag mnie trafi z tym tykaniem.

Wstaję z fotela, zdejmuję zegar i wyciągam baterie. Wpadam na pomysł.

– O, tak.

Sto lat nie słuchałem muzyki, bo Olka nie lubi jazzu. Pokażna kolekcja, jeszcze z czasów kawalerskich, była tylko ozdobą.

Wybieram płytę i odpalam dawno nie używany sprzęt.

– Tak jest.

Dźwięk ulubionej trąbki wypełnia pokój. Siedzę po ciemku, wystarczy latarnia za oknem. Jej światło załamuje złoty płyn w szklance. Pociągam kolejny łyk dymu. Myśli wracają do wulkanizacji i młodziutkiej Olki. Poddaję się temu, sam nie wiem po co.

Wpadłem wtedy na pomysł, że przecież nie muszę się śpieszyć, mogę schudnąć i dopiero wtedy do niej pojechać. Natychmiast zabrałem się za siebie. Ależ się zawzięłem. Zacząłem ćwiczyć, biegać, zachowywałem się jak stuknięty. Chciałem jak najszybciej osiągnąć cel.

– Trzeba się było nazreć pączków, durniu.

Nie pamiętam, ile czasu minęło, ale zrzuciłem prawie dwadzieścia kilo. Co tydzień się ważyłem i powtarzałem.

– Jeszcze trochę.

Powinienem schudnąć więcej, ale już nie mogłem wytrzymać. Musiałem ją zobaczyć. I kiedy nadszedł ten dzień, ubrałem

najlepsze ciuchy, wypachniłem się, kupiłem kwiatka i pojechałem w nieznane, pełen nadziei.

– Przynajmniej schudłem, tyle dobrego. – Odstawiam szklanę.

Wstaję z fotela i idę do kuchni. Coś bym zeżarł. Najlepszy do whisky byłby ser, ale w lodówce mam tylko jajka, mleko, śledzie w oleju, fuj, to Olki, ja wołę w occie. Jeszcze są kabanosy.

– A byłeś w sklepie, głupku.

Wygrywają kabanosy. Biorę całą paczkę i wracam do pokoju. Robię głośniej, to mój ulubiony kawałek. Lecę jeszcze do kibla odlać się i mogę zalec w fotelu na długo.

Kabanosy całkiem nieźle smakują z dymną whisky. Zjadam wszystkie i uzupełniam dym w szklance.

– Życ nie umierać. – Biorę łyżka. – I nikt nie gdera nad głową.

Przypominam sobie, że kiedy do niej jechałem, denerwowałem się bardziej niż przed jakimś egzaminem. Stawka była o wiele większa, chociaż na nic nie liczyłem. Chciałem ją tylko zobaczyć. Sprawdzić, czy wszystko z nią ok, czy jest szczęśliwa.

– Co za pedał. – Śmieję się z siebie.

Na szczyt, gdzie mieszkała, nic nie jeździło. Trzeba było dziesięć minut pod górę dygać z laczka. To już chyba była jesień, ale wczesna, całkiem ciepło, ja w sweterku, coraz bardziej zdenerwowany i zgrzany, co dodatkowo mnie stresowało. Nie dość, że nagle się pojawię nie wiadomo skąd, to jeszcze spocony jak hydraulik mocujący się z zapieczonym śrubunkiem. Pod koniec szedłem naprawdę wolno, żeby jak najmniej się zmęczyć. Gdyby dzisiaj serce waliło mi tak jak wtedy, pewnie z miejsca dostałbym zawała.

W końcu stanąłem przed furtką i nacisnąłem guzik domofonu. Odezwał się szwagier Olki i powiedział, że jej nie ma. Całe powietrze ze mnie zlazło, a badył w ręce oklapł. No nic, podziękowałem i zacząłem schodzić. Wtedy jeszcze nie było komórek, a numeru stacjonarnego nie znałem. Musiałem próbować

ją zastać do skutku.

Kiedy byłem jeszcze u góry, zobaczyłem Olę w oddali, wracała do domu. Wszędzie bym ją poznał. Szła, jakby miała serdecznie dość włożenia pod tę górę. Zatrzymałem się i patrzyłem na nią. Widziała mnie z daleka, ale nie poznała, zmieniłem się. Nie zapomnę, jak wtedy wyglądała. Miała długie, kręcone włosy, skórzaną czarną kurtkę, dzinsy i czarne buciory. Materializowało się moje marzenie. Była dla mnie najpiękniejszą istotą na ziemi, a im bardziej się zbliżała, tym bardziej miękły mi kończyny.

Dziś, bez oślego zachwytu, powiedziałbym zwyczajnie, że jest młodziutka i śliczna.

W końcu mnie rozpoznała, a jej cudowną buzię rozpromienił uśmiech zdobny w białe ząbki. Za to moja gęba wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć.

– Ale gruby – powiedziała i zasłoniła sobie usta, żeby się za mocno nie śmiać.

– Cześć – odpowiedziałem i pomyślałem, co by powiedziała, gdybym tyle nie schudł.

Uścisnęliśmy się, a ona położyła na chwilę głowę na moim ramieniu. Poczułem się jak ktoś, kogo straciła dawno temu i właśnie odzyskała. Pachniała cudownie młodą kobietą. Było już po mnie, przepadłem. Gdyby mi wtedy powiedziała „– oddaj wszystko, co masz” – zrobiłbym to bez wahania. Miałem ochotę paść przed nią na kolana i błagać by była moja.

– Głupi siurek. – Śmieję się i dolewam whisky.

Młodzięcza miłość jest piękna. Uczucie intensywne, zaślepiające, a przy tym energetyczne. Szkoda, że tak szybko mija. Nie sposób potem je sobie przypomnieć.

Kolejny łyczek dymu. Trąbka staje się melancholijna, a ja już mam szmergla.

– Tylko nie na smutno, Stefek, nie na smutno.



Gdyby ta młodzieńcza miłość gdzieś w nas zostawała, można by sięgnąć po nią w razie potrzeby. Nie byłoby tych wszystkich problemów. Stałyby się małe, nieważne, bo ta miłość jest bardzo wyrozumiała, nie widzi szczegółów, które potem wadzą. Nie byłoby kłótni. No może tylko o to, kto kogo bardziej kocha.

– Piękne cierpienie, hep. Kurde, czkawka. – I bąk poleciał przy okazji.

Stałem tak z Olką chwilę i patrzyłem na nią, jak cymbał. Jak misio na miodek. Musiała mieć niezły ubaw.

– Byłeś u mnie? – zapytała.

– Byłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę.

– To dla mnie róża?

– Aaa, tak, no przecież.

Denerwowałem się strasznie. Do tego nie mogłem oderwać od niej oczu. Ona była spokojna. Pewnie czytała we mnie jak w otwartej książce, bo cały czas gapiłem się na jej usta.

Wstaję z fotela i zmieniam płytę. W głowie szumi coraz bardziej. Dlaczego nigdy nie rozmawialiśmy o tym spotkaniu?

– Nie wspominaliśmy, hep, początków?

Siadam z powrotem. Tym razem leci blues. Stary, leniwy, wygrywany chyba na jednej luźnej strunie, do szpiku południowo-amerykański.

– Masz ochotę na spacer? – zapytałem.

– Mhm, chętnie. Tylko wejść do domu po jakieś jabłko, umieram z głodu.

W moim mózgu zamulonym zachwytem ruszyły tryby, zacząłem kombinować, jak tu zaspokoić jej potrzebę. Ale ona już szła pod górę, a ja za nią, nie śmiąc jeszcze spojrzeć na jej tyłek. Wzrok miałem przywiązany do jej głowy, rozpuszczonych włosów. Marzyłem, żeby się w nich zanurzyć.

Zaprosiła mnie do domu. Był ogromny i otwarty na gości.

Mieszkała z matką, siostrą i szwagrem. Czekałem w przedpokoju, Ola miała tylko wziąć coś na ząb. Ale moja przyszła teściowa zobaczyła w ręce córki różę, zagwizdała i z miejsca zaczęła robić sobie ze mnie jajca.

– No, jaki ładny chłopiec – powiedziała. – Widzę, że to nie przelewki, poważna sprawa.

W życiu nie miałem tak nadwyrężonych naczyń krwionośnych twarzy, jak wtedy. Dodała, żebym nie stał jak ta pipka i wszedł dalej. A do Olki:

– Zrób chłopakowi coś do picia. Widać, że jest spragniony.

Tłumaczyłem, że nie trzeba, właśnie idziemy na spacer, ale teściowa nalegała. Nawet Ola nie miała nic do powiedzenia.

Spodobałem się kobiecie, ale mnie przemaglowała konkretnie. Olka co jakiś czas próbowała mnie ratować.

– Mamo!

Ale mama machała tylko ręką i jechała ze mną dalej jak z osranymi gaciami. W końcu wyszliśmy z domu. Ledwo żyłem.

– Zamorduję ją kiedyś – powiedziała Ola.

– Masz w porządku mamę.

– Jak ona się zachowuje, jakbyśmy już się mieli chajtać.

W jej głosie doszukiwałem się choć cienia przychylności. Na pewno było w nim rozbawienie.

– Martwi się o ciebie – powiedziałem.

– Jasne, martwi. Widzi cię pierwszy raz po latach, różę, i sobie dopowiada.

– Przepraszam za tę różę, nie pomyślałem, że możesz mieć chłopaka, mógłby być zły.

Ola uśmiechnęła się do mnie pięknie. Marzyłem, żeby powiedzieć jej, że wciąż ją kocham, że nigdy nie przestałem.

– Nie mam chłopaka. A róża jest piękna.

Nic nie odpowiedziałem, tylko serce zabiło mi szybciej. Miałem

nadzieję, rzecz jasna, ale nie wierzyłem, że będzie moja. Wkręciłem sobie, że nie mam szans z takim ryjem. Chciałem tylko powiedzieć, co czuję, żeby już mnie to nie męczyło, żebym potem nie żałował, że nic nie zrobiłem.

Wyszliśmy na ulicę.

– Pokaż tę swoją okolicę – powiedziałem.

– Ładny tu jest tylko widok, choć zobacz.

Nie odeszliśmy daleko. Dom stał jako ostatni w szeregu, na stromej skarpie. Weszliśmy na punkt widokowy porośnięty trawą.

– Ja, ale petarda – powiedziałem.

Przed sobą widzieliśmy kawał północnej części miasta.

– To jest najlepsze w tym syfiastym miejscu pełnym niezadowolonych ludzi.

Pokiwałem głową. Byłem nastolatkiem, więc bez rozwijania tematu wiedziałem, co ma na myśli. Też przeżywałem ból istnienia.

– Usiądziemy? – zapytała.

– Pewnie.

Trawa była wysoka i wyblakła. Usiedliśmy blisko siebie. Poczulem silniej jej zapach i nie mogłem przestać na nią patrzeć, zwiedzałem jej twarz jak turysta Luwr. W końcu zorientowałem się, że zaczyna ją to krępować. Z trudem oderwałem od niej gały, żeby patrzeć przed siebie. Długo nic nie mówiliśmy, zawstydzeni swoją obecnością i ckliwością kołaczącą w głowach.

Widok był kozacki. Zapadał zmierzch i zapalały się światła w mieście.

– Czad – powiedziałem.

Wtedy jakiś typ przechodził za nami, chyba był dziabnięty. Miał pewnie trochę mniej lat, niż ja teraz.

– Ej, nie bądź głupi, zepchnij ją! Niech się sturla na sam dół! A ty uciekaj! Oddal się dostojnie! – Zaczął pokazywać krok

defiladowy. – Nie pakuj się w to, mówię ci, niech się turla! Nie będziesz żałował!

Odmaszerował, a my patrzyliśmy za nim.

– Co za pajac – powiedziała Ola.

– No, ale śmieszny.

Potem podchwyciłem jego słowa i często drobne sprzeczki kończyliśmy słowami – turlaj się! Wiele napięć to rozładowało. Ale dawno o tym zapomnieliśmy.

Tam na wzgórzu nie było jeszcze przyszłości, nie było nas. Oparłem się z tyłu na rękach, ona zrobiła to samo. Nasze dłonie znalazły się na tyle blisko, że poczuliśmy, jak napręża się ziemia pomiędzy nimi, a serca zabiły nam szybciej.

– Byłam ciekawa, co się z tobą dzieje. Wiedziałam, że wcześniej czy później się spotkamy.

– Skąd wiedziałaś?

Spojrzała na mnie, jakbym palnął głupotę.

– Kobięca intuicja.

– Ach, no tak.

Niewielkie miałem pojęcie o kobiecej intuicji. W ogóle o kobietach.

– Dlaczego teraz? – zapytała.

Wiedziałem, że albo powiem jej, co czuję, dzisiaj albo już nigdy. Jakoś nie wyobrażałem sobie umawiać z nią po koleżeńsku i męczyć z miłości, aż na moich oczach pojawiłby się ktoś inny.

Parskam śmiechem, aż się zapluwam.

– I pękłoby mi serduszko.

Czkawka przeszła. Dolewam sobie. Cieszę się, że o tym wspominam.

– To takie kurde... – Wznoszę szklankę. – Oszyszczające, kurde. Jestem pijany, ale myślę w miarę jasno. Wspomnienia, alkohol,

blues i mrok pasują do siebie. To jedna z tych spontanicznych chwil, które mają w sobie wyjątkowy klimat i zostają w umyśle na zawsze.

– I nie ma ciebie, moja piękna małżonko, żebyś mi ją zepsuła.

Nie wiedziałem, jak jej wtedy odpowiedzieć. Chciałem to zrobić jak najlepiej, w odpowiednim momencie.

– Widzisz tamten dom? – Pokazałem paluchem.

– Który?

Był dwie dzielnice stąd, maciupki. Opisałem charakterystyczne budynki dookoła.

– Aha, widzę – powiedziała.

– To wulkanizacja, pracuję tam.

– No coś ty? Jak to, a szkoła?

– Właścicielem jest kolega mojego ojca. Pracuję tam po szkole i w soboty. Już ponad rok.

– Nieźle.

– Tam jest takie jedno okno, widzisz?

– Mhm.

– Codziennie widzę twój dom, okno twojego pokoju na poddaszu. Dalej masz tam pokój?

– No jasne.

– Zastanawiałem się, co u ciebie, czy siedzisz teraz w swoim pokoju, co robisz. W końcu musiałem cię zobaczyć.

– Bo kiedyś byłeś we mnie zakochany. – Roześmiała się.

To był ten moment. Spuściłem głowę i powiedziałem śmiertelnie poważnie.

– Nigdy nie przestałem cię kochać.

Ola spojrzała na mnie zaskoczona. Spodziewałem się, że powie teraz, że nic by z tego nie wyszło, że możemy być przyjaciółmi i takie tam. Nie szkodzi, byłem na to przygotowany. Ale i tak się

wstydzilem. Patrzyłem w ziemię i czekałem jak na wyrok. A Ola dotknęła mojej twarzy i mnie pocałowała.

– I to w usta, kurde – mówię i odstawiam szklanę.

Szczać mi się znowu zachciało. Niestety prostata już nie ta, co kiedyś. Dźwigam się z fotela i idę do klopa. Siadam na kiblu. Na stojąco strumień byłby jak płasająca za fletem kobra. Nie chce mi się z nią walczyć, jeszcze bym poległ i musiał sprzątać.

Myję ręce i patrzę w lustro. Ale ja już jestem stary. Wory pod oczami, morda robi się skapciała.

– A taki byłeś śliszniuchny – mówię do dziada w lustrze.

Szczególnie wtedy, kiedy wszystko się zaczęło. Ten pocałunek był najpiękniejszy ze wszystkich, jakie pamiętam. Wszechświat przestał istnieć, były tylko jej usta, pełne, miękkie wargi. Pachniały i smakowały niesamowicie świeżo i kobieco.

– Poezja.

Tak pomyślałem o tamtej chwili, kiedy czułem jej usta i język. Poezja. Nie miałbym nic przeciwko, żeby spędzić wieczność w tamtym uczuciu. Nie było w nim jeszcze pożądania, seksualności, była tylko miłość.

– Mogłem ją też popchnąć, żeby się sturlała.

Nie pamiętam, czy to przez moje uczucia, czy Olka miała w sobie coś wyjątkowego, że jej usta smakowały milion razy lepiej od ust innych dziewczyn.

Wracam do pokoju, biorę ze stołu szklanę i sadzam dupsko. Ciekaw jestem, czy teraz, w tej chwili, kiedy sobie o tym przypominam, jej usta smakowałyby tak samo albo chociaż podobnie. Czy siedzi teraz w oknie swojego starego pokoju na poddaszu i patrzy na miasto. Czy coś z tamtej dziewczyny zostało w Oli. Musiałbym pewnie zapomnieć o całym tym kiblu między nami.

– Kurde, nie pamiętam, kiedy się całowaliśmy ostatnio.

Staram się sobie przypomnieć, ale dupa. Od tak dawna ze sobą walczyliśmy, że nie pamiętam nawet, kiedy się ostatnim razem bzykaliśmy.

Dotykam telefonu w kieszeni, wyciągam i kładę na stół. Wpadł mi do łba szalony pomysł, żeby do niej zadzwonić i zapytać, czy pamięta tamten pocałunek.

– Weź, durniu, lepiej się napij.

Opróżniam szklankę i wyciągam korek z butelki. Została jakaś jedna czwarta płynnego dymu.

– Pewnie, że pamięta. Może inaczej, ale pamięta.

Ciekawe, czy pamięta, jak było później. Motyle w bebeczach to mało powiedziane. Latałem do niej codziennie jak ze sraczką do kibla. Pod górę wbiegałem w podskokach, jak po chmurkach, a będąc z nią czułem mrowienie w całym ciele. Całowaliśmy się bez przerwy. To było główne zajęcie podczas spotkań. Chyba, że szliśmy do jakiejś knajpki, kina czy do znajomych.

Ponadprzeciętnie długo utrzymała się między nami ta romantyczna, esencjonalna miłość. Prawie do ślubu. Potem najwyraźniej się wyczerpała i opadła jak zasłona, która zakrywała nasze wady. Wtedy zaczęły się problemy.

– Nie chce mi się o tym myśleć.

Chciałbym poczuć tamtą miłość, jej uniesienie i miękkość, smak i zapach. Nie tylko o niej pamiętać. Dlaczego musi się skończyć? I wylażą problemy, pretensje, wymagania okraszane gniewem?

Przez chwilę nie myślę o niczym. Nie mam ochoty na analizę, szczególnie po pijaku. Po co zresztą? Przecież już koniec z nami, wyprowadziła się. Kurczę, musiała mieć mnie dość.

– Ja też miałem – upewniam się.

Chociaż ona pewnie inaczej. Tylko jak inaczej?

– Przecież mówiła.

Ale nie słuchałem. Sygnalizowała, że czuje się samotna,

niedoceniana, niekochana.

– Jak? Przecież...

Przecież tak ją kochałem.

– Przestałem? Kiedy? – Drapię się w głowę. – Nigdy nie przestałem.

Marszczę czoło i odstawiam szklankę. Nic mi się tu nie zgadza. Skoro wciąż ją kocham, to dlaczego od niej uciekałem?

– Wina leży pośrodku – wpadam.

Zamykam oczy. Czuję się jak głupiec, który próbuje zwalić winę na kogoś innego. Może i wina leży pośrodku. Ale nic nie zrobiłem, żeby to zmienić. Jedno nie chciało ustąpić drugiemu. Zero empatii, chęci dojścia do porozumienia. Własna krzywda była najważniejsza, własna racja. Jej i moja.

– Ech... Jestem idiotą.

Odechciało mi się pić.

– Tyle mogłem zrobić. Jest tyle możliwości. Trzeba tylko ruszyć mózgiem i dupą.

Poprowadzić nas, jak facet powinien.

– Na pewno spróbować.

Gdybym był prawdziwym mężczyzną, wiedziałbym, jak ją traktować. Jakim być przewodnikiem, żeby była szczęśliwa i traktowała mnie jak trzeba.

– Przecież na początku wiedziałem.

Wiem, że to da się zrobić. Można się dogadać, rozwiązać każdy problem, jeśli będziemy bardzo chcieli i podeprzemy się na miłości do siebie.

– Będziemy się słuchać nawzajem... nawzw... nawzajem.

Muszę spróbować, może się udać. Tylko, czy będzie chciała jeszcze ze mną gadać?

– Jak nie umarło, to będzie chciała.



Może na początku nie być łatwo. Ola może mówić podobnie jak do tej pory, że zakochała się we mnie, a ja okazałem się oszustem. Nie dbałem o nią, myślałem tylko o sobie. To zrozumiałe. Nie zniechęcę się.

Biorę do ręki telefon. Nie mogę do niej zadzwonić, bo bełkoczę i pomyśli, że whisky mówi przeze mnie.

– Napiszę.

Ale nie może to być nic banalnego, w stylu: kocham cię, żałuję i więcej nie będę, tylko wróc do mnie.

– Wiem!

Wysyłam: ‘Turlaj się.’

Nie spodziewam się, że odpisze. Ważne, żeby sobie przypomniała. Jutro kupię różę i pojedę. Zaparkuję na dole, żeby przejść się pod górę tą samą drogą, co kiedyś. Może będzie miała ochotę na spacer albo zechce usiąść na punkcie widokowym.

Muszę spróbować, żeby potem nie żałować.

Długo walczę, żeby nie zasnąć, ale w końcu kapituluję. I niewyraźnie, daleko ponad powierzchnią snu, słyszę dźwięk przychodzącej wiadomości.